



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

Nr 270

*ib. Leg. orlańcy*  
*Prof. W. Jędrzej*

G

HISTORIJI 2-go P. U. L. P.



DRUKOWANO JAKO MANUSKRYPT.  
1918.



270

leg. 144

# EPILOG

## HISTORYI 2-go P. U. L. P.



DRUKOWANO JAKO MANUSKRYPT.  
1918.



**P**rzed kilku godzinami wróciłem z Synowódzka wyżnego, gdzie był stacyonowany II. pułk ułanów Legionów polskich, przeprowadzony w styczniu z pod odległych o 260 km Czerniowiec. Ponieważ w tym pułku służył, jako chorąży sanitarny, syn mój Tadeusz, dla niego na pamiątkę i dla tych, którym na sercu leży los żołnierza polskiego, — opowiem, na co własnymi patrzałem oczyma.

Oderwanie ziem polskich, Podlasia i Chełmszczyzny, szerokiem echem odbiło się wszędzie, gdzie polskie bije serce. Nie dziw więc, że w piersiach żołnierza, co przez lat 4 walczył ramię przy ramieniu z państwami centralnemi, głoszącemi tylokrotnie jego czyny w urzędowych komunikatach, gwałtowny powstał odruch, którego wyrazem było przej-

ście brygadyera Hallera do nowo utworzonego państwa, ochrzczonego mianem Ukrainy.

Czyn ten wywołał alarm, aresztowania, wreszcie koczowniczą i internowanie legionistów w Huszt, Witkowicach, czyli poprawne wydanie Szczypiórna, Benjaminowa i Łomży.

Pułk II. ułanów, stojący pod komendą pułkownika austr. p. Romana Kaweckiego, mógł tylko odbierać wiadomości z Bolechowa, (40 kilom.) To też spokojnie stał na miejscu, czekając rozporządzeń swego komendanta. W Bolechowie legionistów rozpuszczano, wydawano marszruty, urlopy etc. Komendant II. pułku, p. Kaweckie odjechał, zostawiając rotmistrza Brzezińskiego bez żadnych dyrektyw.

Widziałem pułkownika Kaweckiego w Krakowie. Zdziwiony jego bytnością tutaj i zainteresowany losem pułku i syna, dowiedziałem się, że pułkownik nie wie, czy pułk istnieje jeszcze, że słyszał o zamiarze bronięcia się na wypadek internowania, że o ucieczce niema mowy, gdyż konie dla złego odżywiania zupełnie zniszczone — i że on sam w tej chwili odjeżdża do Wiednia. Zdziwiony tym faktem, że dowódca swój pułk opuszcza, zapytałem jeszcze w obawie, by się tam jakieś głupstwo nie stało, czy żoł-

nierze mają amunicję. Z odpowiedzi przeczącej wysnułem logiczny wniosek, że o obronie myśleć nie będą.

Tak tedy pułk pozostał na łasce losu.

Dnia 19. lutego nadjechał pociąg, zatrzymał się 2 km przed Synowódzkim i wyrzucił z siebie pół batalionu węgierskiej piechoty pod dowództwem pułkownika. Węgrzy, otoczywszy wieś, urządzili formalne zdobycie pozycji . . . . bez wystrzału i bez rozlewu krwi. Nikt im oporu żadnego nie stawiał. Rozbrojono legionistów, zaciągnięto warty, umieściwszy 35 oficerów w jednej izbie kuchennej, żołnierzy i podoficerów w szkole.

Zaczęły się czasy smutne; w odcięciu od świata, nie mogąc się komunikować z nikim, bez wiadomości z domów rodzinnych, pod groźbami różnemi, źle żywieni, — bezradni siedzieli i zgnębieni.

Nikt o nich, zdało się, nie pytał, bo listów nie oddawano.

W kilka dni później zjechał audytor i rozpoczęła się indagacja. Żadnej winy nie udowodniono, deklaracyi bowiem żadnej, łączącej ich z czynem pułkownika Hallera nie podpisywali, ucieczki nie przedsiębrali, (260 km do granicy i konie zdychające) a zarzut rzekomej obrazy majestatu przez

zdjęcie portretu cesarza, na co zawezwano tamtejszego księdza ruskiego za świadka, okazał się po jego świadectwie nieuzasadnionym. Winą ich więc całą było chyba, że należeli do polskiego korpusu posiłkowego, walczącego z wojskami państw centralnych i dowodzonego przez austriackich komendantów.

Oświadczano więc badanym, iż są wolni od winy i kary.

W udokumentowaniu tego wyroku uwalniającego oddzielono poddanych Królestwa Polskiego żołnierzy i oficerów; wraz ze zwierzchnikami pułku rotmistrem Brzezińskim, adjutantem porucznikiem Seeligerem i lekarzem pułku Wertheimem odesłano do Huszt, na Węgry; uwalnianie zaś reszty t. j. austriackich poddanych rozpoczęto od wysłania porucznika Boczarskiego, byłego chorążego 30. p. piechoty austr. do kadry, a malarza Janowskiego, ze względu na jego wiek, na urlop. Jednem słowem, zdawało się, że niewinni i wolni cierpieć nie będą.

A jednak pozostałym kazano złożyć mundury i rangi oficerskie, otoczono dom strażą, zacieśniając coraz bardziej możliwość wychodzenia, tak że każdy najmniejszy i najbliższy nawet spacer odbywał się pod ba-



gnetami. Żołnierzom i podoficerom wychodzić z budynku nie było wolno wcale.

Raz po raz, mimo wart i strzeżenia, ten i ów zapragnął wolności i garstka po-  
mału topniała; lecz w miarę tego represalia  
rosły, żelazny pierścień zaciskano coraz silniej  
dokoła pozostałych. Z 22 oficerów, poddanych  
austryackich, zostało 16. Oto ich nazwiska:

Pryziński St.	Mniszek Adam
Myszkowski	Grudzień Józef
Bieńkowski	Chwalibóg Jan
Kowalski	Gałęcki Zygmunt
Henil Rudolf	Kunachowicz A.
Pawlikowski Ludwik	Szczepański
Sołga Tadeusz	Łepkowski Tadeusz
Broda	Sperber Józef

### Żołnierzy i podoficerów 192.

Ostatnia wiadomość, jaką od syna otrzy-  
małem, była z daty 3. marca, a list ten,  
uzupełniany dopiskami z trzech dni, wska-  
zywał bałamutne cele podróży to raz Udine,  
to znowu Huszt. Istotnie nie wiedziałem, gdzie  
tych chłopców myślą szukać, czułem jednak  
to jedno, że są opuszczeni i nieszczęśliwi.  
Z różnych stron dochodziły pogłoski, że ich  
internowano w Huszt, że są w drodze do  
Udine, lub też że siedzą jeszcze w Syno-

6

wódku. Listy i depesze, rozesłane na wszystkie strony, nie przyniosły żadnego rezultatu.

Dnia 5. marca tajemnicza ręka podała mi list, który doniósł o wszystkim, co tu stręściłem i kończył się słowami: „Pociąg stoi na stacyi, odjeżdżamy w niewiadomym kierunku. Bóg z Wami! Cześć!”

Żadnej wiadomości potem. Ta cisza głucha męczarnią się stawała dla wszystkich domów z II. pułkiem ułanów złączonych. Aż dnia 11. marca otrzymałem depeszę za pośrednictwem nieznanem wysłaną: „Jedziemy 14. b. m.”

Wywiedziawszy się o najbliższy pociąg, wyjechałem dn. 12. marca rano z Krakowa i o godz. 7 wieczorem stanąłem w Stryju. Tam przez urzędników ruchu, dla których trudno mi znaleźć słów dostatecznie serdecznych i wymownych za cały szereg ich zacnych czynów, dowiedziałem się, że wyjazd transportu internowanychznaczony jest na dzień następny na godz. 4:20 min. pop. Najbliższym więc pociągiem, w towarzystwie urzędnika kolejowego z Synowódzka p. Mieczysława Tachlera wyjechałem na miejsce.

O godz. 11<sup>1</sup>/<sub>2</sub> w nocy stanęliśmy na stacyi, otoczonej dokoła wartą. Wsiadły ze mną jeszcze 2 osoby: pani Władysława

Szczepańska z Krosna i jej służąca; obydwie szukające swych mężów.

Tymczasem, powiadomieni już telegraficznie, wystarali się internowani o pozwolenie dla mnie widzenia się z synem, dla p. Szczepańskiej z mężem. Służącej pozwolenia nie udzielono.

Przechodzimy szyldwachy wśród nocy ciemnej i zaśnieżonej. Woddali błyska światło. Zbliżywszy się, widzę żołnierskie mundury i poznaję syna mego, przebranego za austr. feldfebla i p. Szczepańskiego. Wprowadzeni przez wartę, mającą swą izbę strażniczą w pierwszym pokoiku karczmny synowódzkiej, znajduję się w gronie 16 ostatnich oficerów II. p. ułanów, strzeżonych gęsto przez tych Madziarów, którzy chyba wiedzą, że legiony polskie broniły im Węgier przed najazdem rosyjskim. Gdzieś tam w Karpatach, istnieje przecie nawet pomnik legionom wystawiony.

„Eine Stunde“ ... powiada mi kometant warty, a mnie się zdaje, że weszłam do kaźni skazańców, których jutro powiodą na Sybir, lub wykonają nad nimi wyrok śmierci.

Złaknieni wiadomości z kraju, garną się do mnie, pragną listów od swoich, wieści o ich losie przyszłym, pytają o naszych przedstawicieli w parlamencie, dlaczego nikt

do nich nie przyjechał, nikt myślom nie nadał kierunku, nikt nie dał słów pociechy, nikt nie doradził, jak się mają i mieli zachować w tej strasznej sytuacji. Garść bajek, co przedarła się przez bagnety, potworne mówiła im wieści o Krakowie. „Podobno dworzec w Krakowie zburzony, a trupów pełno było na ulicach w dniach manifestacji po pokoju brzeskiem“. Jeden i drugi pyta o rodzinę.

Siedzą wszyscy dokoła mnie na posłaanich z drewniaku przy ogarku świecy, a ja wśród głębokiej ciszy opowiadam, co wiem z gazet i od ludzi, dodaję ducha i otuchy w wytrwaniu. Niejedna łza i mnie i im z oczu się potoczy, niejedno głębokie uleci westchnienie do rodziny i kraju, skąd ja jestem pierwszym, który im przyniósł żywe słowo i pociechę.

Listów, wyjeżdżając tak szybko, nie miałem wiele, ale i te, które przyszły, były dowodem pamięci, a nagły mój wyjazd był usprawiedliwieniem tych, co o tej sposobności dowiedzieć się nie mogli.

Przy herbacie, wśród dymu papierosów, szła pogawędka do 3ciej po północy i anim wiedział, że „eine Stunde“ dawnośmy przegadali tak, jak ją przespał komendant warty. Zrobiło się raźniej i weselej. Opowiadam

im wszystko detajlicznie, a w tych opowieściach przebijał się żal w pierwszym rzędzie do pułkownika Kaweckiego, któremu wszyscy najmocniej wierzyli, gdy mówił, że po takim pułku, jak ten II. pułk ułanów, innym komanderować nie będzie, a który ich opuścił, nie dbając o los ich dalszy i zamienił stanowisko pułkownika ułanów polskich na także ułanów austriackich. Snuła się też nuta żalu do społeczeństwa, które o pułku jakby zapomniało, a liczył przecież do 1000 naszych kochanych żołnierzy.

Trzecia w nocy.

Trudno przez warty wyjść na ulicę i tam zostać wśród śniegu, w rozmyślaniu. Wszystko mi jedno, jaka mnie kara spotka za przebyta noc z uwięzionymi. Kładę się zatem na pryczę, a przykryty żołnierskim płaszczem, widzę przed sobą niezapomniany żywy obraz z przeżyć ojców naszych, jaki odtworzył Malczewski w dziełach swoich.

Koło okien gęsto kroki szylwachów i 7 wart na około domu, gdzie mieszka 16 bezbronnych oficerów polskich, dziś feldfebli austriackich, wolnych od winy i kary. Wyciągnięci na pryczach, zasypiają snem głębokim, kilku z nich tylko czuwa i skupieni

piszą listy do swoich, które ja jutro tajemniczą pocztą adresatom wywiozę.

Siódma rano.

Ruch, zbieranie manatków, dawanie poleceń i wiadomość, że jeden z ordynansów uciekł tej nocy. Konsternacya. Bo za każdą ucieczką nowe represalia, które zawsze dotyczą niewinnych. Z obowiązku, co zresztą poprzednio warty doniosły, opowiada ten fakt porucznikowi węgierskiemu polski porucznik Pryziński. Wrzask i łajanie warty rozlega się po izbie. Pod bagnetami odsyłają legionowych ordynansów, zastępując ich Madziarami. Pada rozkaz pakowania, bo o godz. 2<sup>3</sup>/<sub>4</sub> mają być wszyscy na stacyi.

Poco tak wczesnie?

„Ich nicht, nur Befehl“ — odpowiada na każde pytanie porucznik węgierski.

Wrze w izbie krzątania, tobołki i plecaki rosna, gromadzi się kupa tego żołnierskiego dobytku na środku sali, a prowadzący menaż, oficer Sperber, biega po prowianty na drogę.

Do obiadu siadamy razem. Obiad na 5 talerzach dla 16 osób. Nastrój nad wyraz smutny, łyżę kapią do rosółu — im nieświadomym losu, a mnie z rozłąki za nimi.

Wolni austriacy żołnierze strzygą się

i gołą, a nad ich legionowym golarzem stoi szyldwach. Nożyk do przecinania kartek książki, chowa węgierski oficer za cholewę, tłumacząc się: „Ich nicht, nur Befehl“. Ostatnia to broń jaką im odebrano.

W tej chwili wyrywa się jednak porucznik Sperber, zawsze wesół i dowcipny, melduje porucznikowi węgierskiemu, że ma jeszcze 5 kul, których sobie zabrać nie pozwoli, bo tkwią w jego nodze . . . z pod Rokitny!

Na rozkaz oficera wychodzimy przed dom. Cywilnych nas dwoje, pani Szczepańska i ja, oficerów szesnastu. Otoczeni naokoło bagnetami, stoimy przed karczmą na ulicy, widząc przed sobą tyły stacyi Synowódzko. Na gościńcu do niej wiodącym żołnierz przy żołnierzu, w brązowych szynelach, z najeżonymi bagnetami. Prowadzą utarczkę z nauczycielką i 10-cio letnią córeczką naczelnika stacyi, które pragną iść do swego mieszkania.

Śnieg pada, zimno.

Z oddali brzmi rota Konopnickiej.

Maszeruje wojsko polskie w przebraniu austriackiem: 192 bezbronnych, otoczonych gęstymi szeregami bagnetów.

Tak wyglądał pochód wolnych od winy i kary.

Zwrot głowy ku swoim oficerom przed karczmą stojącym — i niknie wszystko w budynku stacyjnym.

W oddali za nimi oddzielony od wszystkich, idzie żołnierz pod bagnietami, o zginających się kolanach, — mam uczucie, że największego prowadzą zbrodniarza. Przesuwa się koło nas, oczy błyszczą gorączką, twarz blada, — to chory, co od półtora tygodnia gorączkuje i leżał wśród innych bez dyagnozy. Nie wolno mu było iść do szpitala, a teraz go prowadzą, by go rzucić na barłóg między innych, w wagonie „40 Mann oder 6 Pferde“.

Chwila jeszcze, w takim samym porządku, przy nieproporcjonalnej ilości bagnietów idą wolni oficerowie polscy w przebraniu austriackich feldfebli.

Dochodzimy do kordonu, zagradzającego nam drogę. Żołnierze nas zatrzymują, nastawiając bagnety na mnie i na p. Szczepańską i muszę bardzo energicznie i stanowczo tłumaczyć oficerowi, że skoro syn mój i mąż tej pani nie są zbrodniarzami, ani zdrajcami, muszą nam udzielić pozwolenia towarzyszenia im do pociągu. Na takie



dictum uzyskuje możność przejścia przez kordon, żołnierz jednak nie pozwala i robi się kontrowerzya między węgierskim żołnierzem a węgierskim oficerem. Wrzask, opór, lecz wreszcie przechodzimy na drugą stronę.

Stacya pusta, a tor kolejowy otoczony wraz z pociągiem zwartym płotem żołnierzy z bagnetami.

Znowu poza ten płot cywilnym przejść nie wolno. Puszczają oficerów jak skazańców, jak skazańców, mówię, bo dobrze już to wiemy z 4 lat wojny, jak chodzą po świecie feldfeble, jak jeńcy a jak skazańcy.

W pięciu wozach dla ludzi lub koni zamykają na żelazne zasuwę żołnierzy, podoficerów i tych, co mają prawo do jedno-roczonej służby. Wygodniejszy wagon, przeznaczony dla naszych oficerów przez urzędnika ruchu na tę długą, męczącą podróż, oddano 2 oficerom węgierskim i ich ordynansom.

Przy ostatnich wagonach, gdzie złożono dobytek oficerski, chorąży Sperber pokazuje worki, z których skradziono chleb przez legionistów zakupiony.

Bagnety nie puszczaają nikogo.

Urzędnik ruchu p. Tachler, widząc, że nas z toru spędzają i służbę kolejową potra-

cają kolbami, protestuje tak energicznie, że węgierscy oficerowie semickiego pochodzenia proponują aresztowanie Tachlera. Robi się nowy zamęt. P. Tachler woła wreszcie rzucając czapkę pod nogi naczelnika:

— Protestuję, jestem w służbie i nikt nie ma prawa rozporządzać na stacyi służbą kolejową, bo urzędnik ruchu jest za wszystko odpowiedzialny!

Z wagonów głośne lecą okrzyki:

„Niech żyje Tachler! Wiwat pan naczelnik!“ a węgierską komendę zagłusza śpiew. Jeszcze Polska nie zginęła!

Kordon wojska się zmniejsza, zostaje tylko 58 bagnetów na stacyi.

Oboje z p. Szczepańską dopadamy swoich, Naczelnik Brosz wyjednuje dwom kobietom pozwolenie widzenia się z synem i mężem.

Zwolna uspokaja się zaciekłość w spełnianiu rozkazów i pozwalają podać jedzenie żołnierzom, które przyniosły kobiety z Korczyna.

Wszyscy chodzimy przed pociągiem, na mrozie i śniegu, bo do budynku wejść nie wolno. Tak płyną długie godziny, a pociąg nie rusza, bo urzędnik ruchu ze służby zeszedł.

Ciemność zalega czarna nieprzenikniona. Od strony Bolechowa przybywa pociąg. Słysząc pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“! To transport reszty legionistów, wiezionych do Huszt. Przejeżdżają przez stację, witani i żegnani okrzykami.

— Cześć wam! Bóg z wami! —

Za chwilę rozlega się komenda.

— Do wagonów! —

Chłopcy nasi wysiadają.

Warta z bagnietami wszystkie drzwi otacza. 8-ma wieczór.

Pociąg rusza, — wiezie naszych wolnych od winy i kary żołnierzy austriackich w ciemną noc poza Karpaty, do Włoch.

W Skolem miano czekać z chlebem i rozmałą żywnością na drogę dla uwięzionych, tymczasem już na stacyi w Synowódzku wiadomem było, że wojsko wysłane naprzód ma przeszkodzić wszelkiej akcji w tym kierunku. Zaopatrzenie oficerów w pieniądze było jakie takie, a tem, co miałem przy sobie, załatałem najbardziej piekące manka. Żołnierz odcięty od świata, od oficerów nie mógł komunikować się z nikim. Za podaną paczkę z jedzeniem kogo karano wyczerpany długim siedzeniem w więzieniu pojechał do Włoch bez grosza i zasobów. Społ-

czeństwu i Komitetowi opieki nad Legionami znikł z oczu II. P. U. P. Stało się to, nie z złej intencji tylko z tego braku zmysłu organizacyjnego, który jest wadą naszego społeczeństwa, w którym ginie wszystko w Komitetach i Subkomitetach, a pomoc i szczodra dłoń idzie nie tam, gdzie nagląca potrzeba, tylko w kierunku sympatyj politycznych i partyi, których u nas tak wiele.

Nie wydaję żadnego o tem, co pisałem, sądu. Zestawiłem fakta na pamiątkę dla syna i jego towarzyszy, a na naukę dla tych, co mówią, że wszystko, co się opowiada, to przesadne i niezgodne z prawdą.

Po odejściu pociągu wróciłem na stację. Gościńie przyjęty przez naczelnika, który mnie zabrał do siebie, przespałem się parę godzin.

Mój pociąg wychodził o trzeciej rano.

W poczekalni, zdążając do pociągu, spostrzegłem dwie postacie czarne, tulące się do siebie.

To matka i siostra jednego z wywiezionych.

Przyjechały zapóźno. Nie zastały już swoich. . . . .

Kraków, 14./3. 1918.

W. Łepkowski.







